

Czy jesteśmy zdolni do podmiotowej polityki?

Nie biorę suwerenności za poezję czy metafizykę, ale za realny problem



Nie biorę suwerenności za poezję czy metafizykę, ale za realny problem

Kiedy pojawia się w Polsce dyskusja na temat suwerenności, zwykle mamy do czynienia z określonym zestawem argumentów. Z jednej strony słyszymy, że obstawanie przy tym pojęciu, jakieś próby kierowania się nim w realnej polityce, to wyraz charakterystycznej dla Europy Środkowo-Wschodniej nostalgii, sentymentu, staromodnych upodobań rodem z XIX wieku, które swoje prawdziwe źródło mają w zacofaniu, niedorozwoju (zawinionym lub niezawinionym); albo że to poezja, może i piękna, jak na przykład w wydaniu Jarosława Marka Rymkiewicza, ale tylko przecież poezja, więc trudno, aby praktycy i

pragmatycy brali ją na poważnie; albo – jeśli zależy nam jednak na tym, by pognać adwersarza – że jest to wyraz prymitywnego darwinizmu, absolutnie nie pasujący do obecnych, ponowoczesnych reguł współpracy ponadnarodowej w Europie; albo wreszcie, że ta suwerenność to jest jakaś metafizyka, groźna i niebezpieczna – z powodu której ludziom w Europie już nie raz przychodziły do głowy niemądre pomysły.

Można i w drugą stronę: na przykład, że suwerenność polega na asertywnej obronie narodowych interesów, albo że suwerenność wyraża się tym, by na polskiej granicy stał polski żołnierz, bo żyjemy w czasach, gdy integralność terytorialna kraju jest zagrożona, i tak dalej, albo że Polska będzie silna jeśli stanie się tak samo jak inni egoistyczna i pełna zdrowej hipokryzji, albo że Polska leży między Rosją i Niemcami i musi wciąż się przed nimi bronić.

Należę do tych, którzy nie biorą suwerenności za poezję czy metafizykę, ale za realny problem, problem wręcz palący w dzisiejszej Europie, i co ważniejsze, w przypadku Polski. Jednocześnie męczą mnie mantry jej tradycyjnych obrońców, którzy często czynią jej „niedźwiedzią przysługę”, a więc ignorując specyfikę współczesności, swoim językiem i sposobem myślenia raczej kompromitują problem, niż pozwalają go pozytywnie rozwiązać. Jest to jeden z powodów, dla których faktycznie wolę raczej mówić o podmiotowości niż o suwerenności – nie tylko dlatego, że suwerenność wydaje mi się pojęciem zbyt staromodnym, nieadekwatnym, ale także dlatego że coraz bardziej oczywistym staje się problem, iż można suwerenność formalnie posiadać i jednocześnie nie mieć prawie żadnego **poła działania do realnej i własnej podmiotowości.**

Współczesna Polska ma problem z suwerennością w rozumieniu podmiotowej polityki. To znaczy, że Polska, pozostając formalnie krajem niepodległym, może stać się państwem o zasadniczo zredukowanej podmiotowości. Stajemy w obliczu decyzji oraz spraw, które być może na długo określą dalszy „ontologiczny status” Polski w Europie, a tym samym jej rolę, funkcje, zdolności, ograniczenia, sposób traktowania przez otoczenie, w końcu także przez własnych obywateli.

Trzeba najpierw opisać sobie punkt wyjścia, a więc uwarunkowania, w jakich dzisiaj przychodzi się nam zmierzyć z tym zasadniczym problemem polskiej podmiotowości oraz jej perspektywą.

Po pierwsze, musimy wziąć pod uwagę fakt całkowitej deindustrializacji Polski w wyniku transformacji po 1989 roku. Polska industrializacja realizowana była w różnych, bardzo odmiennych warunkach: pod zaborami, w warunkach niepodległej II Rzeczypospolitej, wreszcie w formule PRL-u. Transformacja dokonana w ramach III RP oznacza fundamentalną zmianę polegającą na realnym zdeindustrializowaniu Polski, co wyraziło się brakiem własnej polityki przemysłowej, niezdolnością do stworzenia własnego kapitału przemysłowego, własnej regionalnej specjalności przemysłowo-technologicznej, wreszcie symbolicznym zdekonstruowaniem polskiego przemysłu stocznioowego przez rząd Donalda Tuska.

Po drugie, od 1989 roku mamy do czynienia z trwałym procesem społecznej demobilizacji, a więc świadomej redukcji woli, która mogłaby się przerodzić w jakąś polityczną determinację. Proces ten zaczyna się praktycznie od samego początku od reakcji na wynik

pierwszych wyborów 4 czerwca. Wzmacnia ją polityka prokonsumpcyjna, a więc nie inwestowanie w rozwój przemysłowy czy technologiczny, ale w konsumpcję właśnie. Wejście do UE i NATO spośród rozlicznych swych konsekwencji przynosi także w rezultacie efekt dalszego rozprężenia, redukcji determinacji czy to w sferze ekonomii czy to w sferze bezpieczeństwa.

Po trzecie, tożsamość. W polskich warunkach tożsamość ma charakter narracyjny, nie instytucjonalny, nie państwowy, nie prawny, ale narracyjny właśnie. Można nad tym ubolewać, można to traktować jako szczególną republikańską cechę. Tożsamość poprzez elity przekształca się w konkretne formy polityki, politycznych działań. Problem polega na tym, że od trzydziestu lat polska narracyjna tożsamość zamknięta się w horyzoncie wciąż tego samego politycznego pokolenia. Nie zmieniając się replikuje ono wciąż te same doświadczenia, typy zachowań, postaw i konfliktów, sposoby definiowania problemów oraz drogi ich rozwiązywania niejako obok zmieniających się warunków rzeczywistości.

Po czwarte, musimy wziąć pod uwagę nasze otoczenie, a raczej jego charakter. W mniejszym stopniu chodzi o to, że na wschodzie są Rosjanie a na Zachodzie Niemcy, co raczej o postawienie sobie pytania, z jakiego typu rzeczywistościami jesteśmy obecnie skonfrontowani. Na wschodzie mamy regionalne imperium, państwo definiujące swoje cele w kategoriach imperialnych i posługujące się w ich realizacji geopolityką Gazpromu, a więc surowcami. Na zachodzie w wyniku kryzysu finansowego mamy do czynienia z tworzonym właśnie nowym typem scentralizowanej wokół Paryża i Berlina racjonalności Unii Gospodarczo-Walutowej dyscyplinującej pozostałych przez

konieczność wprowadzania daleko idących reform, zgodnych z interesami liderów, aczkolwiek w sensie retorycznym i normatywnym wprowadzanych w imię ratowania całości.

Są to dla mnie podstawowe uwarunkowania, które musimy brać pod uwagę rozważając perspektywy podmiotowości Polski: deindustrializacja kraju, demobilizacja społeczna, zamknięta w horyzoncie anachronicznych doświadczeń elita, polityczna oraz presja energetycznego uzależnienia ze strony imperialnego wschodu, jak również presja ze strony nowej francusko-niemieckiej racjonalności unii gospodarczo-walutowej. W obrębie tych uzależnień musimy więc dopiero poszukiwać odpowiedzi, czym może być polska podmiotowość i jakie są niezbędne warunki jej pojawienia się.

Zróbmy więc sobie pewne teoretyczne ćwiczenia z podmiotowości w zakresie wyżej wymienionych uwarunkowań. Procesu deindustrializacji nie cofniemy, wymagałoby to bowiem środków i mobilizacji poza naszym zasięgiem, nie wiadomo też, czy miałoby w obecnych warunkach jakiś sens. Oznacza to, że musimy znaleźć sposób by to, co tradycyjne, przedindustrialne, przekuć na nowoczesne, na przykład ustanowić warunki, które pozwoliły w ciągu kilku lat przestawić polskie rolnictwo z limitowanej przez UE produkcji żywności na produkcję np. biomasy, skoro w XVI wieku polskie rolnictwo tworzyło dla Zachodu spichlerz żywnościowy, to dlaczego w XXI wieku nie miałoby stworzyć spichlerza dla nowych energii. Takie pomysły już krążą, ale w efekcie zrealizowanie takiej polityki oznacza podmiotową zdolność wyjścia Polski ze wspólnej polityki rolnej UE (częściowe lub całkowite nawet).

Inna kwestia: od jakiegoś już czasu słyszymy, że kwestia emisji CO2 i pakiet energetyczno-klimatyczny to pętla zaciskająca się na naszym gardle, że za kilka lat dojdzie do wywrócenia całego naszego budżetu. Jeśli do tego dojdzie, to Polska znajdzie się w położeniu obecnym Grecji, tyle że z odmiennych powodów i będzie musiała prosić o pomoc. Uzyska ją zapewne, ale za cenę podporządkowania się w pełni nowej racjonalności francusko-niemieckiej w ramach unii gospodarczo-walutowej (swoją drogą, jeśli premier Tusk w wywiadach dla zagranicznych gazet ogłasza, że obecnie wejście do Euro jest strategicznym wyborem Polski, to jednak powinien przez chwilę najpierw pomyśleć, co to w praktyce oznacza). Może oczywiście postawić się i wyjść z wcześniejszych zobowiązań, ale to także wymagałoby zdolności do podmiotowego podejmowania decyzji. Ktoś powie, że takie wyjście byłoby okupione straszliwą ceną. Zapewne, ale ostatecznie nie chodzi o cenę, ale o bilans. Można zapłacić wysoką cenę, jeśli jednocześnie uzyska się jeszcze większy zysk. Los po raz kolejny daje nam niespodziewanie nowe możliwości pod postacią gazu łupkowego. Jego eksploatacja mogłaby nam rozwiązać problem emisji oraz problem uzależnienia od wschodniego imperium. Ale nie miejmy złudzeń, gra będzie brutalna. Rosja nie chce utracić swojego podstawowego źródła uzależnienia, Niemcy nie chcą stracić dobrego rynku zbytu na swoje odnawialne technologie, Francuzi bronią swego przemysłu nuklearnego. Myślę, że wszyscy oni podejmą wszelkie możliwe środki, aby utrudnić nam lub uniemożliwić skorzystanie z nowego rozwiązania naszych problemów.

Polska musi uniezależnić się (nie znaczy odizolować się) od dostaw ze wschodu (logika Pawlaka jest nieakceptowana z punktu widzenia podmiotowości). Nie może wejść z USA w relacje przypominające stosunki postkolonialne. Musi także zachować spokojny dystans wobec

nowej dyscyplinującej racjonalności francusko-niemieckiej. Inaczej przekreślić może na dość długi szanse własnego, podmiotowego rozwoju. Aby zrealizować te cele, potrzebujemy w Polsce uwolnionej z horyzontu obecnego politycznego pokolenia elity decydentów (stare musi wreszcie odejść!); zmobilizowanego społeczeństwa, które ma możliwość odzyskania wiary w sens i wartość życia i pracy w Polsce; wreszcie wspólnego myślenia i działania na poziomie strategicznym, a więc w perspektywie rozwoju dwóch trzech pokoleń do przodu, a nie drobnych kalkulacji politycznych czy materialnych – nie potrzebujemy ludzi „chitrych”, ale ludzi planujących, zdolnych do bardziej abstrakcyjnego, ogólnego definiowania wyzwań (nowa kultura polityczna).

Jeżeli nie jesteśmy zdolni do takich wysiłków, to znaczy, że nie jesteśmy zdolni do posiadania podmiotowości.

Marek A. Cichocki